



Od śmieszności do horroru

Andrzej Popielski



Temat pozornie niebranżowy. Przeczytałem 11 stycznia w „Rzeczpospolitej” krótki wywiad z Jackiem Wojciechowskim, bibliologiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, poświęcony czytelnictwu, także książek elektronicznych. Jego treści mogą dotyczyć także czasopism. Ich publikowanie stopniowo przenosi się z zadrukowanego papieru do Internetu – również w naszej branży. Oto cytat:

Nie chodzi o to, jak bardzo monitorzy męczą nasze oczy, bo technologia próbuje z tym walczyć. Problemem fundamentalnym jest to, że przy czytaniu z druku uruchamia się pamięć trwała, a przy czytaniu z monitorów – pamięć nietrwała. I tego przeskoczyć się nie da. Czytanie informacyjne może się odbyć bez druku, ale do czytania intelektualnego nie polecam monitora...

Warto zadać ważne pytanie. Jaka jest dla Czytelnika korzyść z lektury opublikowanego w Internecie całego technicznego czasopisma specjalistycznego (choćby z branży ochrony), przeczytanego z działaniem tylko pamięci nietrwałej?

Porcja komedii. Jaką drogą dzieło malarza może przejść do historii sztuki, czyli

zawisnąć na ścianie Muzeum Narodowego? Jak pokazuje praktyka, drogą najkrótszą jest samodzielne zawieszenie go tam przez artystę.

Student wrocławskiej ASP, autor akcji, na chwilę stał się głośny, ale nie tak sławny, jak utalentowany malarz – grafciarz Banksy. Nie był szczególnie oryginalny; nawet w Polsce były już takie zdarzenia. Jednak cel osiągnął – zauważenie przez media.

Akcję we wrocławskim Muzeum Narodowym utrwalono kamerą, ale nie dozorową, tylko przyniesioną – do muzyczki z „Różowej Pantery”. Prowokator artystyczny nie powiesił obrazka przy dziełach Witkacego lub Stażewskiego, bo siedziała tam pani na krzeselku („ochrona”). Gdyby miał ze sobą więcej przedmiotów do wieszania, to zawiesiłby wszystkie. Nowy obraz, zdaniem sprawcy, zauważono po 3 dniach, nie po dniu, jak twierdziło muzeum. Zakłopotana dyrekcja zrobiła zresztą dobrą minę do złej gry. Każda inna byłaby ośmieszająca.

Happening był zabawny, ale ujawnił brak skutecznej ochrony, co jest trochę kompromitujące w placówce tej rangi (czy jest na liście tych w szczególnej pieczy resortu?). Ale żartobliwie można powiedzieć, że plany ochrony pisane są pod kątem eliminacji ryzyka utraty majątku muzealnego, a nie niebezpieczeństwa jego nagłego wzbogacenia

Z epizodu nie należy wyciągać wniosku, że w ochronie obiektów zabytkowych wszystko jest „do kitu”. W reportażu w **SA** 5/2011 pokazałem obraz pracy od 1988 r. Ośrodka Ochrony Zbiorów Publicznych, który niedawno stracił pozycję samodzielnej placówki i został włączony w strukturę nowego Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów.

Przez 20 ostatnich lat niejeden obiekt zabytkowy przeszedł etapy od braku zabezpieczeń lub ich prymitywizmu z poziomu epoki króla Ćwieczka do użytkowania nowoczesnych rozwiązań technicznych. Oczywiście są miejsca, gdzie nadal jest siermiężnie. Myślę m.in. o starych, drewnianych kościółkach. Nie wszystko jednak zależy od techniki, a więcej czasem od organizacji ochrony. Nawiasem mówiąc, odwiedzałem muzea i... mam oczy. Taką sumaryczną opinię zamieściłem w reportażu. Nasza branża jest jednak dziwna.

„Obiektywni” recenzenci zauważyli, że przedstawiłem obraz zmian wynikający z pracy Ośrodka bardzo polukrowany. Wolałbym, żeby podczas czytania omijali na stronach białe powierzchnie i skupiali umysł na miejscach popstrzonych czarną farbą.

Pojedźmy teraz do Italii. Tam od niedawna systemy alarmowe są także w ofercie zakładów pogrzebowych. Nie chodzi tu o alarmy wzbudzone przez ożywających nieboszczyków. Podaję za Money.pl, a portal za lokalnym włoskim dziennikiem ukazującym się w Bergamo, że w ofercie zakładu pogrzebowego z Caravaggio znajduje się model trumny Mike wyposażony w zabezpieczenia przeciwkradzieżowe. System ostrzegania automatycznie zgłasza firmie ochrony wstrząsy oraz „inne anomalie” (nie napisano jakie). Nazwa modelu nawiązuje do imienia „króla” włoskiej telewizji, 85-letniego w chwili śmierci prezentera Mike’a Bongiorno, którego ciało wykradziono z grobu rok temu, prawdopodobnie dla okupu. Odnaleziono je na początku grudnia na peryferiach Mediolanu.

Teraz Rosja. Władimir Putin, broniąc się przed oskarżeniami o sfałszowanie wyborów zaproponował 4 grudnia, aby w każdym lokalu wyborczym umieścić kamery internetowe. Jak szybko obliczono, koszt instalacji około 300 tys. kamer (po trzy w lokalu) oraz serwerów w 95 tys. lokali wyborczych wyniosłoby w przeliczeniu na euro ok. 360 milionów. Putin, rzucając taką propozycję, wiedział, że jest nierealna, nawet z przyczyn formalnych. Przetarg należałoby ogłosić najpóźniej do połowy stycznia, żeby zdążyć przed wyborami na początku marca. Kto zresztą dokonałby natychmiastowo takiej gigantycznej dostawy i montażu?

Do klubu posiadaczy systemów nawigacji satelitarnej (USA, UE, Rosja) dołączyły niedawno Chiny. Na razie system nazywany się „Wielką Niedźwiedzicą” obejmuje zasięgiem Chiny i ich najbliższych sąsiadów. W przyszłym roku ma być wystrzelonych kolejnych 6 satelitów, co pozwoli objąć zasięgiem cały region Azji i Pacyfiku. System ma składać się z 35 satelitów. □